

Aleksander Piwowarek - Utracone korzenie. Podborcze 1939 – 1944



Fotografia

Aleksandra Piwowarka

Z zakątkiem Zachodniego Roztocza, którego oś stanowi rzeczka Gorajec zetknąłem się po raz pierwszy, gdy od zachodu nadciągała nawałnica mająca diametralnie zmienić losy mieszkańców Europy (w tym również moje).

Decyzja o pokonaniu piechotą przez trójkę dorosłych i dwoje dzieci siedemdziesięciokilometrowej trasy dzielącej Nisko od rodzinnego ojcowskiego Podborcza okazała się nierealna, nie tylko ze względu na odległość, przede wszystkim z powodu ekstremalnych warunków panujących na drodze. Wrześniowe słońce lało żarem, warkot niemieckich silników raz za razem nakazywał szukanie schronienia pod drzewami i w przydrożnych rowach. Kryzys nastąpił po kilku kilometrach w pobliżu pierwszej wioski za Sanem. Nogi odmówiły posłuszeństwa. Ulitował się jednak rolnik mieszkający w owej wiosce i mizerniutkim ekwipażem zdecydował się na odwiezienie wędrowców na miejsce. Na szczęście penetracja drogi przez niemieckich "rycerzy przestworzy" w tym czasie nieco osłabła. Ich zainteresowanie wzbudziły świąteczne procesje w dniu Matki Bożej Siewnej. Efekty owego zainteresowania uwidoczniły się, gdy nocą minęliśmy dogorywające zgliszcza Janowa, oraz Frampola.

Po dwudziestu niemal godzinach jazdy, którą mimo najlepszej woli trudno nazwać komfortową, wygramoliłem się skostniały i ścierpięty z wehikułu. Słońce właśnie rozpoczynało swą codzienną wędrówkę. Po chłodnej nocy nastawał kolejny upalny dzień. Zapowiadany "cud" na wzór tamtego z nad Wisły z przed laty, nie nadszedł podobnie jak wszechmocne rzekomo armie zachodnich sojuszników. Osobiście nie byłem zdegustowany przedłużającymi się feriami, że trwać będą przez lat pięć jeszcze nikt wtedy nie przewidywał.

W najbliższych dniach obserwowałem krajobraz zupełnie nieadekwatny do znanych widoków na Nizinie Sandomierskiej. Środek podmokłej doliny południkowo przecinała "Rzeka" - podkreśliłem tę nazwę jako jedyny ówczesnie wśród tubylców funkcjonujący termin. Początek ciek ów brał w bagnach Puszczy Solskiej, w pobliżu wsi Tereszpol, kończył zaś w wodach Poru w pobliżu Sąsiadki. Truizmem będzie stwierdzenie, iż był to podstawowy czynnik osadotwórczy tej okolicy. Rzeka wijąc się zbliżała raz do jednego potem zaś drugiego morenowego wzniesienia i zapewne były to miejsca najwcześniejszego osadnictwa. Rzeka jednak to nie tylko pitna woda; również energia poruszająca koła młyńskie. Z kolei piętrzące wodę zastawy tworzyły sprzyjające warunki dla hodowli ryb i udomowionego ptactwa wodnego. Dolinę obrzeżały południkowo ukierunkowane wały morenowe. Wschodni zwany "Szczebrzeską", wyższy i wyraziściej zarysowany, oddzielał bliźniaczą dolinę Wieprza.

Użytkowanie jego zboczy było zróżnicowane: część pokrywały poletka uprawne tzw. "nowiny" resztę stanowiły las i nieużytki pełniące funkcję pastwiska. Południową część owej moreny obejmował duży kompleks leśny zwany "Cetnarem". Cały obszar pokrywały liczne lessowe jary nierzadko głębokie na kilkanaście i więcej metrów. Przeciwległe (zachodnie) wzniesienia były

łagodniejsze i silniej rozczłonkowane, w olbrzymiej większości objęte polami uprawnymi. Od południa i od północy ograniczały enklawę odpowiednio: od południa fragmenty Puszczy Solskiej, oraz od północy tereny nad Porem.

Pokryty latem gruba warstwą lessowego pyłu, wiosną i jesienią identyczną błota, zimą zaś śniegu, gościniec udawał, iż jest poważnym łącznikiem pomiędzy Panasówką a Radecznicą. Rolę tę uzupełniały odcinki dróg stanowiące osie poszczególnych wiosek. Tworzyły one po obu stronach łańcuszki. Jeden stanowiły: Czarnystok, Wólka Czarnostocka, Gorajec - Zagroble, Dzielce, Zaburze i Mokre-Lipie, przeciwległy: Gorajec-Zastawie, Gorajec Stara - Wieś, Podborcze wraz z Miasteczkiem, Zaburze - Zakręcie, Latyczyn, Radecznicza. Większość, a prawdopodobnie wszystkie te nazwy mają topograficzny rodowód i tak.; Czarnystok to zaciemnione zbocze (skierowane ku północy), Gorajec oznaczał pagórek, Zaburze wskazywało miejscowość za borem etc. Istniały co najmniej dwa stanowiska grodowe umiejscowione na wschodniej morenie. Nie wykluczyłbym kolejnych n.p w Starowsi w pobliżu kościoła lub na klasztorным wzniesieniu w Radeczniczy. O ile etymologia nazw wsi jest zupełnie czytelna, to z interpretacją nazwy "Szczembrzeszyn" są kłopoty. Aktualne zaś próby jej wyjaśnienia nie są zbyt przekonujące. Ponieważ znakomita większość przytoczonych powyżej nazw ma charakter topograficzny najprawdopodobniej i nazwy starych grodów powstawały na podobnej zasadzie. Wydaje się więc, iż szukanie w nazwie inspiracji z zewnątrz jest błędne, zaś termin ten to historycznie zmodyfikowany rodzimy zrost określający miejsce położone na porzeźbionym jarami wzniesieniu.

Na przełomie czternastego i piętnastego wieku gorajecka enklawa wchodziła w skład szczembrzeszyńskiego powiatu i była jego centralną częścią. Tędy też zapewne wiodł szlak łączący Szczembrzeszyn z zachodnimi włościami Dymitra; od Szczembrzeskiej do Gorajca i dalej do Frampola lub Goraja. Miała również ta ziemia swych bardów; synem chłopca z Czarnogostoku był polsko - łańcuszki poeta Klemens Janicki (Janicius). W Czernięcinie nad Porem powstawały prawdopodobnie sielanki Szymona Szymonowica (Simon Simonides).

Położone u stóp zachodniego wzniesienia w jego środkowej części, Podborcze (którego nazwa oznacza miejsce pod borkiem) było niewielką liczącą dwanaście "numerów" wioską. "Numer" był zakodowanym w ludzkiej pamięci z czasów uwłaszczenia stanem stwierdzającym ilość uwłaszczonych gospodarstw chłopskich. Gospodarstwa te usytuowano wzdłuż wąskiej wiejskiej drogi przebiegającej równoległe do odległego około pięćdziesięciu metrów gościńca. Przy południowym krańcu wioski droga skręcała i przez "nawsie" następnie mostek na Rzece, wiodła ku przeciwległej Szczembrzeskiej i dalej wznosząc się do góry ku Szczembrzeszynowi. Aktualnie zagród było przeszło dwukrotnie więcej niż w okresie uwłaszczenia. Zmieniła się również na skutek podziałów powierzchnia poszczególnych gospodarstw, a także lokalizacja i kategorie użytkowanego areału. Nadanie z 1864r. zakładało identyczność powierzchni każdego "numeru", w skład, której wchodziły następujące kategorie użytków: ziemia orna, łąka, oraz las. Nadanie uzupełniała gromadzka wspólnota korzystania z wypasu na nawsiu, wygonie i pastwisku na Szczembrzeskiej. Niemieszczące się przy uliczce gumna sytuowano bliżej gościńca, lub w położonych po przeciwnej stronie uliczki sadach.

W ten sposób wioska zatracala stopniowo charakter typowej ulicówki. W skład tradycyjnej chłopskiej zagrody, obok chaty mieszkalnej, wchodziły obora i stodoła, niekiedy autonomicznie stojący chlew, bróg itp. Podstawowym budulcem było drewno, a metodą jego łączenia węgiel. Do pokrywania dachu służyła słoma (w całej wiosce był jeden dom, do którego budowy użyto cegłę i dwa pokryte blachą). Chaty starsze pochodzące z dziewiętnastego wieku miały jedną izbę, przelotową sień i komorę. W powstałych później pomieszczeniach bywało od dwóch do trzech.

O budowie nieco wygodniejszych domów zdecydował postęp w technologii obróbki drewna (w okolicy pojawiły się małe parowe tartaki, nauczono się również ręcznej, wzdłużnej przecierki drewna). Rozwijający się przemysł pozwalał na stopniowe wprowadzanie i urozmaicanie asortymentu artykułów dla budownictwa i uprawy roli. W niemal wszystkich zagrodach istniały kieraty służące do uruchamiania młocarni i siewkarni. Były metalowe brony sprężynowe i talerzowe, również metalowe pługi. Większość prac wykonywano jednak nadal ręcznie używając narzędzi w całości lub częściowo wykonanych we własnym zakresie. Podborcze zapewne powstało

w wieku dziewiętnastym, brak, bowiem jego nazwy w indeksie miejscowości z wieku osiemnastego. W pobliżu leżało, rozdzielone "Niżem" od reszty wsi "Miasteczko". Mimo ewidentnej integracji z Podborczem administracyjnie wchodziło ono w skład sołectwa Gorajec-Stara -Wieś. Początkowo trochę mnie intrygowała a trochę śmieszyła owa nazwa. Znacznie później zrozumiałem, iż zawiera duży ładunek informacyjny. Miasteczko to po prostu zdrobniała forma pojęcia określającego miejsce. Musiało jednak owo Miasteczko posiadać specyficzne znaczenie by stać się ostatecznie nazwą własną. Istotnie zlokalizowane zostało u podnóża wzniesienia zwanego "Wiercikijem", w pobliżu Rzeki i wspomnianych przeze mnie mostku oraz drogi równoleżnikowo łączącej przeciwległe krawędzie doliny. Był to, więc najdogodniejszy, [bo położony w środkowej części enklawy] punkt przeprawy. Ewentualne stanowisko na "Wiercikiju" mogło zapewne być pomocne w przeprawie pojazdów zaprzężonych jak i stanowić punkt obserwacyjny oraz ostrzegawczy na rzecz Gorajca. Na początku lat czterdziestych ubiegłego wieku istniał tu jeszcze wałacy się i nieczynny młyn a za nim staw.

W drugiej dekadzie września na gościńcu pojawił się niemiecki patrol. Nie był to jednak jeszcze początek hitlerowskiej okupacji. Tuż po dwudziestym przybyli następni "goście". Byli to sowieccy kawalerzyści spieszący z "bratnią pomocą" hitlerowskiemu sojusznikowi. W dwa lub trzy dni później prowadzili na wschód polskich jeńców uprzednio broniących się przed Niemcami pod Janowem Lub[elskim].

Na początku października kolumna pojazdów pancernych, niemal rozjeżdżając płoty wąskiej wiejskiej uliczki oznajmiła nadejście ery "Tysiącletniej Rzeszy". Pięcioletni byt na wsi pod hitlerowską okupacją na pewno nie był rajem, w porównaniu jednak z okrucieństwami i cierpieniami ogółu, była to (przynajmniej do czasu) prawie sielanka. W całym tym okresie z niemieckich rąk śmierć poniosły cztery osoby. W październiku 1939 r, żołnierz kampanii wrześniowej Batorski rozstrzelony został w Radeczniczy za posiadanie broni. W roku 1941 zginął, za niedozwolone związki z Niemką Stanisław Głowala, który dobrowolnie wyjechał do pracy w Rzeszy, kolejna ofiara to Stanisław Wypych zabrany tamże na roboty, następnie podany eutanazji jako osoba psychicznie chora. W czasie wycofywania się armii niemieckiej na gościńcu zabity został Jan Głowala.

Po spaleniu się w połowie września zabudowań wraz z domem dziadka całą wojnę mieszkaliśmy w wynajmowanej izdebce. O przetrwaniu decydowała codzienna praca w niezmiernie prymitywnych warunkach, oraz sytuacje ekstremalne spowodowane okupacją. Szybko zrozumiałem, iż niemal wszystko, co potrzebne jest do życia wytwarzane jest na polu i w zabudowaniach gospodarczych. Pole dostarczało zboża, paszy dla zwierząt, warzyw, lnu oraz konopi na odzież i pościel. Zwierzęta inwentarskie służyły jako siła robocza, były źródłem nabiału i niewielkiej ilości mięsa System uprawek nie różnił się specjalnie od obecnego. Stosowano orkę, bronowanie, niekiedy kultywator i talerzowanie. Różnica między ówczesną a dzisiejszą uprawą roli jest raczej typu jakościowego i wynika z jakości narzędzi. Niewielką towarowość gospodarstwa chłopskiego jeszcze bardziej ograniczyły warunki okupacji, w szczególności kontyngenty i rodzimy bandytyzm.

Jesienią przygotowywano role pod zasiew oziminy dokonując konno orki i bronowania Następnie siano "z płachty" żyto oraz pszenicę, po czym zasiew ponownie bronowano. Ponieważ jesień była najbardziej pracochłonnym okresem nie zawsze starczało czasu na podorywki. Czasem siewu owsa i jęczmienia, również gryki, prosa oraz roślin włóknistych niektórych okopowych i warzyw była wiosna. Len siano w maju (wcześniejszy termin siewu mógł powodować wymarznienia, późniejszy słabe wschody). Ze względu na dużą pracochłonność, tak przy pielęgnacji jak i w toku dalszej obróbki poletka były niewielkie, najwyżej kilkuarowe, Kilkakrotne ręczne pielienie uprawy to dopiero początek lnianej epopei. Po wyrwaniu roślin przez kilkanaście dni schły one ustawione w małych snopkach na polu. Następnie należało je "oczemchać"(oberwać torebki nasienne za pomocą specjalni do tego celu służących drewnianych "grzebieni"). Kolejnym zabiegiem był "roszenie" W tym celu odziarnioną słomę rozłożyć należało cienką warstwą na łące po drugich sianokosach, lub na ściernisku, celem doprowadzenia jej rdzeni do zbutwienia Dopiero tak przygotowany materiał nadawał się do międlenia Do wykonywania owej czynności służyły

międllice i cierlice. Były to dosyć grube kilku centymetrowej szerokości deski z wyciętą w grubości szczeliną, w którą wchodziła cieńsza deska połączona bolcem z jednej strony, a zaopatrzona w rączkę z drugiej. Działały na zasadzie dźwigni jednoramiennej.

Prymitywne urządzenie gniotło zbutwiałe łądźki łamiąc je wielokrotnie i wytrząsając paździerze. Cierlica różniła się jednie podwójnym wycięciem. Jej zadaniem było dokładniejsze oczyszczenie włókna. Snujące się wzdłuż gościńca dymy z ognisk, nad którymi suszono wilgotne len i konopie oraz towarzyszący im klekot międlic stanowiły wyrazisty symbol nazwy miesiąca. Jesienny nastrój pogłębiały wlokące się przez większość dnia mgły. Niekiedy jedynie odgłosy międlenia sygnalizowały pracę kobiet. Pod koniec października lub w listopadzie (po zakończeniu ostatnich prac polowych) dokonywano ostatecznego podziału włókna na pakuły i "garście" Służyła do tego "szczotka". Był to drewniany krążek z koncentrycznie ponabijanymi zaostrzonymi gwoździ. Ów krążek bywał przymocowany na stałe do dłuższej deski pozwalającej urządzenie oprzeć na podłogę, jednocześnie przytrzymując je górną partią ciała. Przędzenie odbywało się zimą. Włókno przywiązywano do "krążela", który umieszczano na statywie przędzy. Wysnuwane z krążela przez kobiety przedziwo skręcało wirujące się wrzeciono. Po jego wypełnieniu należało gotową przędzę nałożyć na motowidło, na którym powstawały motki o jednakowej długości, z jednakową liczbą sześćdziesięciu nitkowych pasem.

Na przełomie zimy wiosny w niektórych chatach pojawiały się; (zajmujące niemal połowę izby) warsztaty tkackie. Nici z motków były przewijane na duże szpule a następnie w postaci osnowy nakładane na wał. Po przeprowadzeniu przez "naczynia i ubijak" mocowano je na wale odbierającym. Tkacz mógł rozpocząć pracę. Przepychał czółenka z nawiniętym na cewce wątkiem każdorazowo zmieniając za pomocą "naczyni" pozycję części nitki osnowy, a następnie uderzał "ubijakiem". Mógł on tym sposobem dziennie wykonać kilka łokci płótna. Zdjęcie produktu z warsztatu nie oznaczało jeszcze końca lnianych dzieł. Ostatnim aktem było bielienie polegające na rozłożeniu płótna w słońcu i wielokrotnym polewaniu wodą, celem pozbycia się szarego odcienia i nadmiernej sztywności materiału. Teraz dopiero lniana epopeja, po przeszło rocznej akcji dobiegała końca. Nie od rzeczy będzie wzmianka, iż zarówno siemię lniane jak i konopne były surowcem do produkcji oleju, będącego istotnym składnikiem diety miejscowej ludności.

Stosunkowo krótszy i mniej pracochłonny był cykl pozyskiwania kasz. Po omłotach cepem lub w młocarni kieratowej nasiona gryki trafiały do wiejskich kaszarni, gdzie po rozkruszeniu łuski w specjalnie skonstruowanych żarnach, kaszę czyszczono na wialni poprawiając sitem.

Obok kaszy uzyskiwano pewną ilość mąki. Obróbka jagieł była prostsza. Za pomocą uderzeń obrabiano je w stępie (stępa przypominała duży drewniany młódcierz) po odsianiu na sicie kasza była gotowa.

Wiosną sadzono na polu stosunkowo duża ilość kapusty, którą w jesieni kiszono w wielkich beczkach. Obok kiszonej kapusty drugim podstawowym produktem stanowiącym codzienne menu były ziemniaki. Sadzono je "pod skibę", a jesienią wykopywano zbiorowo motykami, codziennie u innego gospodarza. Wieczorem gospodarz zapraszał "kopaczy" na wieczerzę, której podstawą tradycyjnie były rozdrobnione podpłomyki (placki) obficie posypane twarogiem i oblane roztopionym masłem.

Natomiast do sprawnego sprzętu zboża potrzebne były trzy osoby: kosiarz, odbieracz i wiązacz. Wykoszone i powiązane w snopki zboże ustawiano w kopy, by przeszło na polu. Następnie zwożono je do stodoły magazynując w zapolach, których zgodnie z typową budową w/w budynku było dwa. Omłotów za pomocą młocarni kieratowej dokonywano dopiero po ukończeniu prac polowych, a więc na przełomie jesieni i zimy. Wyjątkową satysfakcję sprawiał mi omłot pszenicy. Z pod wyrzucanych pod młocarnię snopków wyskakiwały gromady myszy, które z dużym powodzeniem chwytałem w przygotowane pudełko, by następnie z połowu zrobić ucztę kotu. Omłócone ziarno należało jeszcze odwiać. Słomę żytnią i większość pszennej zużywa no na podściółkę, pozostała na paszę. W razie zapotrzebowania na długą i równą słomę używano cepów. Tak postąpiono, gdy w 1940 r zachodziła potrzeba pokrycia odbudowanej po pożarze w ubiegłym roku stodoły, na co trzeba było wykonać wiele kiczek z dobrej jakości tworzywa.

Nie sposób wyobrazić sobie zagrody chłopskiej bez inwentarza żywego. Były, więc konie

(najczęściej dwa), choćby, dlatego, iż do kościoła pojedynką jechać to wstyd. Naprawdę to koń i bez tej świątecznej eskapady miał, co robić: na polu oranie, bronowanie, kultywator. Dodatkowo zwózka plonów, praca w kieracie, przywóz opału na zimę. Krowy z zasady dzieliły pomieszczenie z końmi, czasem przez ścianę, częściej jednie odgródzone drewnianą barierką. Miały dawać mleko i produkować obornik.....? Najczęściej w oborze; niekiedy w osobnym pomieszczeniu znajdowała się grzęda dla kur. Kury widziało się w każdej zagrodzie. Miały produkować jaja dla własnego użytku i część na sprzedaż, a po wyeksploatowaniu trafiały do garnka. Kaczki i gęsi występowały sporadycznie. Pożądanym od nich produktem były przeznaczone na poduszki i pierzyny pióra. Tam gdzie widać było owe ptaki istniało znaczne prawdopodobieństwo, iż mieszka panna na wydaniu; bowiem poduszki i pierzyna to podstawowy element posagu.

Jako paszę dla inwentarza uprawiano buraki pastewne i wsiewano wiosną w żyto koniczynę, która rosła autonomicznie w latach następnym. Mięso, nabiał, pióra to tylko część korzyści wynikających z hodowli. Nieocenioną wartość przedstawiał obornik będący najistotniejszym czynnikiem, determinującym system upraw i wysokość plonu. Spotykałem się też z twierdzeniem gospodarzy, że nawet mało wydajne krowy trzymane są; "na gnój". Jesienią decydowano się często na przywóz z lasu liści by powiększyć ilość ściółki a tym samym masę obornika. Właśnie obornik decydował o trójpolowej uprawie. W pierwszy roku po nawożeniu sadzono ziemniaki lub siano buraki, w drugim siano pszenicę i jęczmień, w trzecim żyto lub owies. Stanowiska po koniczynie traktowano jak pierwszy ewentualnie drugi rok po oborniku. Plony jednak były mizerne: wydajność zbóż grawitowała w granicach 10q okopowych 60 – 80q.

W Podborczu mieszkała najbliższa rodzina ojca. Byli to jego rodzice: Jan i Franciszka (z Wojtowiczów) Piwowarkowie. Opiekowali się oni trójką sierot po niedawno zmarłej córce Katarzynie Krzyszcak. Były to osiemnastoletni Stach, piętnastoletni Edzio i trzynastoletnia Janka. Ich ojciec Michał od dziesięciu lat bawił w ogarniętej recesją Kanadzie i znaku życia o sobie nie dawał. Dom Piwowarka seniora leżał na południowym skraju wioski. Sąsiedował on ze starszym obiektem, w którym mieszkała rodzina najmłodszego z dziadkowego rodzeństwa Walentego (Walka). Miał on cztery córki i w wieku od lat osiemnastu do pięciu: były to kolejno Halina, Weronka, Janka, i Gienka Syn Józek był nieco ode mnie młodszy. Sąsiedztwo to trwało zaledwie dni kilka, do czasu, gdy pożar strawił dziadkowe zabudowania. Żywioł sprawił, iż owa staruszka - matecznik ponownie samodzielnie reprezentowała "numer 1" nadany Piwowarom. W centrum wioski inna należąca do ciotki Hanki i jej męża chata - staruszka pozostawiła w mej pamięci niezatarty ślad.

Ciotka Hanka była siostrą ojca i w zagrodzie Olechów po pożarze znaleźli schronienie dziadkowie wraz z wnukami i częściowo ocalałym inwentarzem. W jednej izbie gnieździło się dziewięć osób tj. dziadek i babka, ciotka Hanka wraz ze stryjem Stanisławem i dziećmi: szesnastoletnim Władkiem, oraz dziesięcioletnią Felą i wcześniej wymieniona trójka osieroconych młodych Krzyszczaków. Nas na czas pewien przyjęli Wujcowie, następnie poszliśmy w komorne do Józefa Sykały nieopodal olechowych zabudowań. To owe budynki wraz z chatką pozostały dla mnie wielorakim symbolem rozwoju świadomości.

Umierał tu w maju 1941 roku Stach brat cioteczny, a w dziesięć miesięcy później stryj Stanisław. Za tą samą przyczyną padły dziadkowie; krowa i koń. Nabrzmiwało we mnie nie tylko poczucie żalu za zmarłymi, również świadomość nieuniknionego przemijania i lęk przed morderczym zagrożeniem groźną chorobą.

Zupełnie inne odczucia powodowała bożonarodzeniowa słoma na podłodze, w której tarzaliśmy się do upadłego. Tu przy blasku łuczywa kobiety i dziewczęta kręcąc swe wrzeciona wiodły rozmowy, gdy od olbrzymiego pieca było miłe ciepło. Na tym piecu urządziłem sobie legowisko, na którym grzałem się.(a zimy tamtego czasu były siarczyste). Najwięcej wzruszeń dostarczał mi jednak świat na zewnątrz. Perspektywa wioski skierowana była ku wschodowi, tu łąki przecięte wstęgą łożyny i olch znaczyły bieg rzeczki, za nimi u podnóża Szczebrzeskiej widoczne było Zaburze, a obok Dziełce. Od południa w perspektywie odległe jedynie o dwieście metrów Miasteczko na tle Wiercikija. Oddalony około 1 kilometra na zachód Chłopków zasłaniały pagórki. Na północy z niektórych miejsc widoczny, z innych przysłaniany pagórkami kościół i klasztor w

Radeczniczy. Wbrew powszechnej ówczesnej rzeczywistości w mych wspomnieniach (szczególnie w pierwszych latach) sprawy drastyczne czy ekstremalne nie stanowią istotnej dominanty. Na taki stan złożyło się kilka podstawowych obiektywnych czynników, jak to, że wioska położona była w centrum z natury rzeczy mało dostępnej, pozbawionej dogodnych dróg i ekonomicznie nieatrakcyjnej enklawy, zaś gmina Radecznicza w czasie okupacji dodatkowo została przejęta z uważanego za zasobny powiatu zamojskiego do uchodzącego za ubogi biłgorajskiego. Istotną rolę odegrały również pozornie abstrakcyjne pojęcia jak szczęście i zbiegi okoliczności. Do Podborcza przyjechaliśmy 9 września 1939 r.

Już 17 tego miesiąca spłonęła podpalona ręką polskiego marudera część wioski (w tym dziadkowa zagroda). Po jednodniowym noclegu u rodziny Olechów, jak już wyżej wspomniałem znaleźliśmy schronienie w domu Wujców. Był to jeden z nowszych budynków w wiosce. Posiadał podpiwniczenie w postaci obszernej suteryny, dużą kuchnię oraz dwa mniejsze pomieszczenia zwane "chałupkami". Drzwi do kuchni i osobne do jednej z chałupek wiodły przez werandę i niewielką sionkę. W owej izbie z samodzielnymi drzwiami przetrwaliśmy niemal pół roku. Gospodarze byli niezbyt bliskimi naszymi krewnymi; szczegółów w tej materii nigdy nie poznałem. Seniorką rodziny była babcia Ferencowa, wdowa po zmarłym przed wojną właścicielu zagrody. Posiadała dwie córki. Młodsza Marynia (Maria) była panienką i niebawem wyszła za mąż. Starsza Paulina posiadała małżonka (Wojciecha Wujca) oraz czwórkę dzieci kolejno; Albinę, Stasia, Tadzia i Janka.

Dziadek Piwowarek poza bratem Walentym miał jeszcze trzy siostry mieszkające w sąsiednich wioskach. W Dzielcach mieszkały Tetlakowa z mężem i trójką dzieci w wieku przybliżonym do mojego (były to Stach, Janek i Anielka), oraz Biziorowa (z mężem,) której jedyny syn Józef był w wieku mego ojca, moimi zaś krewniakami i niemal rówieśnikami były jego dzieci, Emilka, Oleś i Poldek (Leopold) W Chłopkowie mieszkał cioteczny brat ojca Stanisław Gębka syn najstarszej z dziadkowych sióstr.

W pierwszej połowie listopada miał miejsce szczebrzeszyński epizod. Na początku miesiąca zostały w tamtejszym gimnazjum wznowione zajęcia lekcyjne w związku, z czym mama otrzymała propozycję pracy. Jednocześnie ja miałem kontynuować naukę w czwartej klasie szkoły powszechnej. Otrzymaliśmy pokój w kamienicy państwa Sawickich skąd każde chodziło do "swojej" szkoły. Z tego okresu utrwalił się w mej pamięci pożar żydowskich domów w pobliżu synagogi, (któ ów pożar spowodował nigdy oficjalnie nie zostało wyjaśnione, chociaż jest niemal pewne, że uczynili to Niemcy). Gimnazjum zastało przez władze okupacyjne po kilkunastu dniach, a dokładnie 19 listopada zamknięte Następnego dnia powędrowałem przez Szczebrzeską wraz z przybyłym tego dnia ze wsi ojcem do Podborcza, gdzie mama niebawem również się pojawiła.

Zima zapowiadała się sroga. Siadywałem, więc przy piecu w naszej "chałupce" usiłując czytać, co ze względu na ograniczone możliwości pozyskania lektury, oraz kompletny brak nafty nie było łatwe w realizacji. Nieco tej pierwszej przywiózł ojciec dwukrotnie we wrześniu wyjeżdżając po potrzebne przedmioty do Niska. Jakies pochodzące z przedwojennej prenumeraty książki posiadał po sąsiedzku mieszkający bratanek zmarłego męża babki Ferencowej, Stach Ferenc. Nieco później odkryłem fragmenty biblioteki kolegium serafickiego o.o. Bernardynów z Radeczniczy u jednego z jego wychowanków; Staszka Bartnika. Posiadanie tych książek nie było oczywiście efektem kradzieży, lecz depozytem przekazanym w celu ich uchronienia przed zniszczeniem po zlikwidowaniu przez Niemców szkoły. Nafta jednak była nieosiągalna. Zastępowała ją produkowana w Brodach k. Szczebrzeszyna terpentyna, a później karbid.

Przełom roku przyniósł zagładę kuropatwom, których duże stada, na skutek zimna i śniegu, w poszukiwaniu pożywienia zbliżały się ku zagrodom. Lekka odwilż i wilgotny śnieg zasypał ptaki w wygrzebanych przez nie dołkach, a następnie gwałtowne ochłodzenie spowodowały unieruchomienie ich i śmierć. O ile po przeszło sześćdziesięciu latach dobrze sobie przypominam owa tragedia wydarzyła się w noc sylwestrową i dostrzeżona zastała zbyt późno by interweniować.

Nie wspominałbym o owym fakcie, gdyby niezasłyszana przeze mnie wróżba i to wypowiedziana ustami zaprzyjaźnionego Żyda, wiążąca ptasią zagładę z zapowiedzią holokaustu ("po kuropatwach my..").

Na kilka dni przed "Godami"(Bożym Narodzeniem) z Józkiem Piwowarkiem i Adolkiem Batorskim rozpoczęliśmy próby do kolędniczego występu. Polegały one na wyszukiwaniu w "kantyczkach" tekstu kilku kolęd, które następnie przekrzykując się "śpiewaliśmy" kilkakrotnie. Sam występ odbywał się teoretycznie wieczorami w okresie od św. Szczepana do św. Trzech Króli. Ponieważ wioska była niewielka nasze popisy zakończyliśmy na trzeci dzień. Polegały one na ustawieniu się za okienkiem danej chaty i gromkim oświadczeniu "Panie gospodarzu, pani gospodynie czy każecie, czy każecie domek rozweselić...?" O ile nie było wyraźnego protestu rozpoczynaliśmy wyuczone "popisy".

W dzień św. Szczepana kolędę rozpoczynali "kawaliry" kryteria zaliczenia do tej grupy kolędujących nie były rygorystyczne zapewne należało wcześniej przejść mutacje i nie wejść jeszcze w związki małżeńskie. Osób, które owym kryterium odpowiadały w Podborczu było kilkanaście i prawie wszyscy w imprezie brali udział. Najpierw śpiewano kolędę potem w domach w których znajdowały się "dziwki" (dziewczęta, panny) rozpoczynano żartobliwe swatanie najczęściej desygnując jednego z chłopców do roli starającego się i przyśpiewując żartobliwie n.p. " ...wiemy bo my wiemy co ci darujemy Stasia nadobnego do cię podobnego...". Przyśpiewki bywały różne, przytoczyłem zapamiętaną i najbardziej charakterystyczną. "Dziwki" identyczną imprezę rozpoczynały w sylwestrowy wieczór.

Rytualem, z którym zetknąłem się jedynie na Roztoczu było zbieranie "szczodraków". Szczodrakiem nazywano malutki chlebek uformowany w kształcie grubego rogała, którym obdarowywano starsze dzieci podczas obchodu w noworoczny poranek. Śpiewano wtedy następującą przyśpiewkę "Zawitał Bóg w tym domku, a w tym domku kościółek, w tym kościółku Maryja syna swego powiła, szczodre lato, dobre lato,dajcież, że nam szczodrak za to...!" Kolędę przeprowadzaną przez proboszcza z Mokregolipia kojarzyłem, (podobne zresztą jak inne dzieci) z rozdawanymi przez niego obrazkami. Proboszcz (był nim wówczas wyróżniający się potężną posturą ks. Masztalerz) przyjeżdżał wozem wraz z woźnicą, którym był organista i obchodził chaty. W tym czasie na wóz trafiał drób, nabiał, zboże, zdarzał się i wałek płótna, snopki pszenicy etc. By zakończyć owe związane z "Godami" (Bożym Narodzeniem) dywagacje kilka słów o dniu najistotniejszym tj. Wigilii.

Post obowiązywał przez cały dzień, Wieczorem pojawiała się na podłodze słoma a w kącie izby snopek żyta zwany "królem". Sygnał pierwszej gwiazdy, co prawda obowiązywał, jednak nie był rygorystycznie przestrzegany. "Pośnik" (kolacja wigilijna) był posiłkiem obfitym, lecz kraszonym jedynie tłuszczem roślinnym. Obowiązkowymi daniami były: zupa z suszonych owoców tz "parka", "łupcie" (gołąbki) z kaszą gryczaną i grzybami, gotowana kiszona kapusta, "piróg" (placek) gryczany i drugi pszenny obydwie pieczone w piecu chlebowym, były i kluski z makiem Po wigilijnej kolacji śpiewając nieco kolęd czekano na późniejszą godzinę, by wyruszyć na pasterkę.

Wówczas na gościńcu zaczynał się ruch. Najpierw grupkami szli piesi, niektórzy oświetlali sobie chwilowo drogę podpalanymi wiązkami słomy, potem ponownie zapadała ciemność. Liczne sanki wyprzedzały piechurów. Gościniec toczył potok z Gorajca, Zaborza, Dzielec, Podborcza. Strumyki z Zakłodzia, Gruszki, Sąsiadki dodatkowo wypełniały obszerne nawy kościoła w Mokrem-Lipiu. Po niemal dwu godzinach kościół wypychał ludzką falę w drogę powrotną Zmarznięci uczestnicy nabożeństwa poruszali się żwawo mobilizowani dodatkowo wizją pieczonych w piecu chlebowym żeberek i "joncznicy" (gryczanej kaszanki) oraz wędzonej, często również pieczonej kiełbasy. (Nie zapominajmy, iż były to pierwsze w czasie okupacji święta i choć przedwojenna wieś zamożną nie była, to jeszcze okupant do skrajnej nędzy i głodu nie zdążył jej doprowadzić).

W pierwszy świąteczny dzień ludzie krzatali się dosyć niemrawo, ci którzy nie byli na pasterce wybierali się na późną mszę, do pozostających należał konieczny oporządek, a że w izbie robiło się zimno również rozpalenie pod kuchnią i przygotowanie ciepłej strawy. W dzień św. Szczepana powracała energia, znikła z podłogi słoma, po powrocie z kościoła opowiadano sobie, kto najmocniej "obłożył" księdza rzucanym zbożem. Dziewczęta podekscytowane oczekiwały, który

kawaler zostanie im "przedzielony" i właściwe było po świętach. Od Świąt. Trzech Króli życie zaczynało toczyć się pozornie bardziej monotennie. Nie znaczą to, iż brakło zajęć.

Przygotowanie drzewa na opał zabierało sporo czasu. Trzeba je było przywozić z lasu, ciąć piłą "twoja moja", (co nie było pracą lekką), rąbać grubsze klocki przynosić drewno do chaty. Codzienny porządek również wymagał sporo wysiłku, nie wystarczało zadać karmę; należało ją przygotować: naciąć siczki i buraków dla bydła, dla świń sparzyć plewy i mieszać je z gotowanymi obierkami, etc. Kobiety po krzątaniu przy kuchni wieczorami siadały niekiedy samotnie, częściej z przybyłymi sąsiadkami do kądzeli. W izbie panował mrok rozświetlany jedynie płomykami palących się pod kuchnią drzewien lub mdłym płomyczkiem zasilanej terpentyną lampki naftowej. Z perspektywy "swojej chałupki" i ze względu na wiek byłem raczej obserwatorem niż uczestnikiem owych prac. Moim obowiązkiem było jedynie dbanie o królika, którego dostałem od stryja Józwa Biziora z Dzielec i niekiedy przyniesienie drzewa do pieca. Niecierpliwiły mnie jednak owe mrozy utrudniające pobyt na dworze i powodujące ograniczenia w oświetleniu. Z utęsknieniem, więc oczekiwałem cieplejszych i dłuższych dni. Wraz z nadejściem Wielkiego Postu przybyło nieco "atrakcji" w postaci "gorzkich żali" i "stacji" śpiewanych każdorazowo w innej chacie.

Pewnego razu postanowiliśmy, wraz z Adolkiem Batorskim wyróżnić się niczym bohater noweli "Antek" i zaczęliśmy ryczeć jak dwa dardanejskie osły pobożne pieśni, zabrakło jedynie nauczyciela mogącego ufundować nagrodę w postaci "rozgrzewki". Niedziela Palmowa nieodwołalnie zwiastowała wiosnę. W Wielką Sobotę ksiądz objeżdżał wioski świecąc pożywienie. W Podborczu odbywało się to najczęściej w zagrodzie Walentego Piwowarka. Ponieważ ludzie dosyć rygorystycznie podporządkowywali się kanonom postu przez cały jego okres, tym chętniej oddawali się obżarstwu podczas świąt. Nasz czas zaczynał się w "lany poniedziałek". W ruch szły nie tylko wiadra, dzbanki, konewki i garnki, również różnego rodzaju sikawki i sikaweczki. Nie były to zabiegi bezinteresowne. Oblane dziewczyny za nasz "trud" winny się zrewanżować już w najbliższą sobotę pisankami.

Kolejnym rewanżem było ofiarowanie pisankodawczyniom jakiegoś drobiazgu zakupionego na odpuszczenie. Były to zabawy dostępne dla nastolatków "kawalirkę i dziwki" tego typu igraszki nie interesowały. Zdarzyło się jednak, iż na widok mojej agresji panna w kwiecie wieku: Hanusia Osman wykorzystując moje zacietrzewienie wylała na mnie wiadro wody, studząc nadmierny zapach. Czasem malowania jajek był pierwszy tydzień po Wielkanocy. Podstawowe narzędzie stanowił "pisak". Był to skręcony z blachy malutki lejek o średnicy około 1-2 cm wetknięty w prymitywną rączkę. W ów lejek wtykano odrobinę wosku i ogrzewano go nad świecą do momentu roztopienia. Następnie prowadząc końcówkę pisaka po powierzchni jajka rysowano ciekłym woskiem wzory. Niekiedy wzór bywał niepełny. Po włożeniu jajka do farby i jego zabarwieniu oraz wysuszeniu wpisywano uzupełniające elementy i ponownie je barwiono innym kolorem. Zabieg taki można było powtarzać. Łatwo zauważyć, iż ilość kolorów zapisanego wzoru zależała od ilości kąpieli jajka. W razie kłopotów z uzyskaniem sztucznych barwników niektóre z nich można było zastąpić naturalnymi. Np. bardzo popularne były łupinki cebuli dające skorupce ładny brązowy kolor.

Oczywiście, iż Wielkanoc nie była jednym urokiem wiosny. Jeszcze przed nią wybrałem się do lasu na Szczepreskiej. Podłóże pokrywały szybko malejące płaty śniegu, a pomiędzy nimi wychylały się przebiśniegi i zawilce. Przyniosłem do domu bukiet kwiatów jako oczywisty dowód wiosny. Były i nieco późniejsze wyprawy do lasu razem ze Stachem, który wspinał się na drzewa skąd dla mnie z gniazd wronich wybierał jajka. Raz nawet w tym celu wspiął się na wysoką rosnącą nad jarem sosnę, na której gniazdo miała kania.

W maju odbywały się pod figurą w Wujcowym (Ferencowym) sadzie nabożeństwa majowe. Polegały one na wspólnym śpiewaniu litanii i dodatkowych pieśni na tę okazję. Dla dzieci była to okazja do wieczornej zabawy.

Wraz z innymi budynkami spłonęła we wrześniu na "nawsiu" chata przeznaczona na szkołę i mieszkanie nauczycielskie. Zainteresowani mieszkańcy wioski dogadali się z Janem Wypychem posiadającym duże pomieszczenie, w którym zlokalizowano izbę lekcyjną. Zajęcia, o ile dobrze sobie przypominam rozpoczęły się zimą 1940 r. Początkowo uczyła moja matka. Trwało to jednak

niedługo, gdyż ktoś ze znajomych poradził, iż lepiej nie narażać życia wzbudzając zainteresowania gestapowców. Patrząc z późniejszej perspektywy była to bardzo mądra rada i istotnie rezygnacja z pracy mogła zdecydować o życiu mamy i losie całej rodziny.

Czteroklasowa sanacyjna szkoła powszechna już w swych założeniach była antydemokratyczna. Cztery klasy uczył jeden nauczyciel. Po siedmioletnim uczeniu otrzymywało się świadectwo ukończenia czterech klas zamykające drogę dostępu do dalszego kształcenia. Łączone były klasy pierwsza z drugą i trzecia z czwartą. Program klas pierwszej i drugiej był realizowany każdorazowo w ciągu roku, natomiast w dwóch następnych przedstawiał wręcz kuriozalne rozwiązania: Do klasy trzeciej należało uczęszczać dwa a czwartej trzy lata. I tak; do klasy trzeciej uczęszczać mieli dziewięć i dziesięciolatkowie zaś czwartej jedenasto, dwunasto i trzynastolatkowie. Odpowiednio istniały dwa i trzy rodzaje podręczników sygnowanych; kurs "A" i "B" dla kl. III, oraz "A", "B" i "C" do kl. IV.

Owe kursy posiadały identyczny stopień trudności różniąc się jedynie treścią. Pozwolę sobie na przedstawienie perypetii, jakie powinien był przejść delikwent aspirujący do ukończenia wiejskiej szkoły czteroklasowej (a w takiej sytuacji właśnie się znalazłem). W pierwszym roku klasy IV miał to być np. kurs "B" z podręczników sygnowanych tą literą miały korzystać dzieci trzech roczników: mojego oraz dwóch starszych. Jak iż były to klasy łączone jednocześnie w izbie uczyły się dwa roczniki kl III, czyli rozpiętość wieku wynosiła lat pięć. W następnym roku rozpoczynał się kurs "C" trzynastolatkowie kończyli naukę zaś ich miejsca uzupełniał starszy rocznik kl., III itd. Teoretycznie ów system ugruntowywał wiedzę i nawyki na poziomie minimum w rzeczywistości bywało rozmaicie. W czasie okupacji przewinęła się w Podborczu trójka nauczycieli. Byli to kolejno niedługo pracujący F. Piwowarek i p. Kuna ze Smorynia, oraz uczący już do końca okupacji p. Gaczol.

Rok 1940 rozpoczął narastające trudności aprowizacyjne. Rolnikom wyznaczone zostały kontyngenty zbożowe, natomiast bydło rzeźne zabierano na przeglądach stanu inwentarza wsi jedynie na podstawie wyglądu zewnętrznego zwierzęcia. Odpłatność "góralami" stanowiła znikomą część faktycznej wartości dostarczonych produktów. Rekompensowano to dosyć obficie tanią wódką i skąpo produktami z żelaza lub podłej jakości łokciowizną.

Dodatkową ilość ziarna usiłował uzyskać okupant w postaci kontrolowanych przez siebie "odsypów" sięgających ca. 20% zdeponowanego do przemiału zboża. Zamknięto w tym celu wszystkie małe okoliczne młyny, pozostawiając jeden większy w Zakłodziu. Jego właściciel p. Gałęzowski był zobowiązany dostarczać całość "odsypu" Niemcom. Ten stan rzeczy spowodował, iż tu i ówdzie pojawiły się żarna.

Moje wspomnienie o owym narzędziu jest wręcz koszarne; (wydajność ręcznego młynka do kawy, uciąg kieratu). Nie udało się jednak okupantom pomysł pozyskania ze wsi wieprzowiny, choć proponowali kolczykowanie świń i podział po połowie, polskie świnię i tak opornie nabierające wagi, zaś te z "ozdobą" w uchu nie były w stanie osiągnąć właściwej wielkości do końca okupacji. Innym niemieckim pomysłem był handel wymienny; kilo jajek w zamian z kilogramem cukru. Ten proceder przynosił przez czas pewien efekty, dopóki okupantom nie zachciało się podnieść dwukrotnie wartości cukru. Wówczas chłopcy pojęli udane próby chałupniczego przerobu buraka cukrowego. Cukru, co prawda nie produkowano, jedynie "miód". Zapachem dosłownie przypominał on swe korzenie, najważniejsze, iż był słodki i nadawał się doskonale do pieczenia piernika, który smakował nie gorzej niż ten z komponentem wytwarzanym przez pszczoły.

Kolejnym okupacyjnym problemem było obuwie. Powszechnie stosowanie drewniaków wynikało z konieczności nie zaś z mody. Brak było szczególnie skór na podeszwy, bowiem wymagała b. długiego garbowania. Łatwiej otrzymywało się skóry miękkie wyprawiane w ałunie chromowym bądź zwykłym. Wyprawiano je również w korze z drzew. Surowcem z zasady były skórki cielęce. Szewstwo i kamasznictwo to zajęcia wówczas dość powszechne i z obuwem nie było większych kłopotów. Inna sprawa to jego jakość i wygoda. Kobiety i tak idąc do kościoła zakładały trzewiki dopiero przed jego bramą, zapewne dla oszczędności, ale i z przyzwyczajenia. Produkowano również pastę do butów, z sadzy i z łatwo dostępnej, bo produkowanej w brodzkiej "Alwie" kalafonii. Kłopoty z mydłem sprawiły, iż również ten artykuł nauczono się wytwarzać we własnym

zakresie. Nie był to produkt światowej klasy jednak do obmycia brudu i prania mógł być wykorzystany.

Były dwa sposoby prania lnianej bielizny i pościeli. Jednym było "zolenie": Do trójnożnej beczki [zolnika], wyposażonej w dnie w otwór, oraz zamykający go kołek wkładano lnianą odzież i pościel przesypanyo je miałkim popiołem a następnie zalewano wrzątkiem. Po wypuszczeniu otworem u dołu z "zolnika" "zoły" bieliznę kilka razy płukano zalewając wodą i wypuszczając ją dołem. Tylko w cieplejsze dni można było prać za pomocą kijanki tj niewielkiej płaskiej deseczki wyposażonej w rączkę. Wówczas kobiety wyprawiały się nad rzekę zabierając przeznaczoną do prania bieliznę, kijankę, owo w domu wyprodukowane mydło i dużą deskę (często była to "gnojownica" stanowiąca boczny zdejmowany fragment furmanki), którą rozkładało się na brzegu w bezpośredniej bliskości przepływającego nurtu wody. Pranie polegało na wielokrotnym uderzaniu namoczonej i namydłonej bielizny krawędzią kijanki następnie płukaniu w przepływającej wodzie, którą to czynność powtarzano parę razy.

Rzeka nie była jedynie domeną praczek. Tu w ciepłe dni chodziliśmy się kąpać do "Łypowego Bełku".(bełkami nazywano głębsze zakola rzeczne), a że w/w. leżał blisko zagrody rolnika nazwiskiem Łyp stąd owa nazwa. Co więcej było to jedyne dostatecznie głębokie nadające się do kąpieli miejsce, na dodatek położone między Podborczem a Dzielcami i z powodu obopólnych roszczeń do wyłączności będące areną walk nagusów na kamienie i grudy ziemi. Tu również odbywała się propedeutyka anatomii, seksuologii i erotyzmu najczęściej w postaci soczystych fraz. Po latach chcę stwierdzić, iż z niektórymi terminami z anatomii użytkowej z czasów dzieciństwa nie zetknąłem się w innych regionach Kraju. Kobiety i dziewczęta dokonywały ablucji z reguły wieczorem, tłumacząc, iż o tej porze woda jest cieplejsza. Sądzę że nie była to do końca prawdą. Po upalnym i pracowitym dniu ciała ich były przepecone i pokryte brudem. By się solidnie obmyć potrzebne były miejsca płytsze i z zasady bardziej widoczne. Zmrok przysłał nagość i to było zasadniczym motywem. O podglądaczach mówi zasłyszana wówczas przyspiewka: "Przy zielonej łączce panny się kąpały. Na wierzby gałązkach majtki rozwieszały. Paweł, jak to Paweł ma swoje kawały, zatrząsł gałązkami, majtki pospadały. Przestraszone panny zebrały się w kupę, każda swoje majtki zaciąga na d..." .

Istotnym powodem przyciągającym chłopców nad wodę było wędkowanie. Do długiego prostego, leszczynowego kija przywiązywało się mocną nitkę, wykonaną z konopnego włókna. Do nitki wiązało się wykonany z kory sosnowej spławik, zakończenie stanowił wygięty z agrafki haczyk i wędka była gotowa. W rzeczce było stosunkowo dużo ryb, a ich wielkość proporcjonalna do rozmiarów środowiska.

Przy rozwalającym się młynie znajdowała się sprawnie regulująca poziom wody w stawie zastawa, jednocześnie w niedawnej przeszłości tworząca zasoby energii dla nieczynnego obecnie młyna. (W górze rzeczki istniały jeszcze młyny w Gorajcu i Czarnymstoku) Poniżej młyna znajdowało się niewielkie rozlewisko u jego zwężenia mostek. Wędkowanie rozpoczynało się najczęściej koło zastawy. Łowiło się z mostku kielbie potem wędrowało się wzdłuż rzeczki rzucając wędkę we wszystkich dostępnych miejscach. Rybki brały chętnie, choć ich wielkość nie imponowała. Niebawem poprosiłem cioteczne siostry Jankę i Felę, by uprzedły mi konopne mocne nici, które następnie skręciłem na kołowrotku. Nie potrafię dziś już powiedzieć, kto pokazał mi sposób wiązania siatki. Prawdopodobnie był to Stach. Potrzebne do tego były drewniane igła i wałek (podwójny obwód wałka stanowił obwód oczka siatki). Do połowu metodą "nagonki" należało dysponować "sakiem" i "więcierzem". Sak była to sieć na kształt zwężającego się worka rozpiętego na dużym leszczynowym łuku wyposażona w mocny rozwidlony drążek potrzebny do zanurzania i wyjmowania saka. Zastawi- ano siecią całe koryto rzeczki zgodnie z jej biegiem potem naganiano ryby drągami robiąc wiele hałasu. Po drugiej stronie owej obławy znajdował się więcierz umocowany za pomocą tyczek na skrzydłach i w ogonie skierowany okiem matni pod prąd wody. Dopiero ta metoda pozwalała na zorientowanie się w faktycznych zasobach.. Były jazie, płotki, szczupaki, liny, miętusy. Spory odsetek schwytych okazów przekraczał wagę 1 kilograma. Poza

tym w jednym z "bełków" zauważyłem węgorza, innym razem w pobliżu stawu udało mi się w siatkę złapać dużego karpia.

Rok 1940 określiłbym jako statyczny, ale z wyraźną tendencją do ubożenia wsi i narastających braków w zaopatrzeniu. Jesienią po raz pierwszy Niemcy wyznaczili kontyngenty na zboże tym samym ograniczając i tak niewielką jego ilość przeznaczaną na paszę. Na początku następnego roku intensyfikuje się bandytyzm. Giną pierwsze rabowane w chlewach świny w niektórych domach pojawiają się bandyci, rabując wartościowsze ich zdaniem przedmioty. Rosną kwoty kontyngentów. W drugiej połowie 1941 r. lub wiosną następnego zastrzelony został we własnych zabudowaniach młody rolnik Wojciech Ż (...). Bardzo dyskretna pogłoska łączyła jego śmierć z powiązaniem z bandą Szpugi (jak ją lokalnie określano "Szpużakami"). Sprawa ta pozostanie zapewne jednym z malutkich niewyjaśnionych epizodów tamtego czasu, jakich wiele i zapewne już dziś nikt o niej nie pamięta.

Znacznemu przyspieszeniu wydarzeń uległa dynamika lat następnych. W październiku i listopadzie 1942 r. dotarły informacje o potwornych zbrodniach dokonywanych przez hitlerowców w okolicznych miastach, miasteczkach a nawet wsiach. Osoby wracające ze Szczebrzeszyna opowiadały o setkach na kirkut prowadzonych Żydów o wszędzie leżących trupach i było to przerażające.

Tutejszy chłop nie był antysemitą. Z Izraelitami wiązały go rozliczne drobne interesy. Żydzi z zasady byli dzierżawcami chłopskich sadów, odbiorcami nabiątu i ziemiopłodów, oraz zwierząt rzeźnych. Żyd był głównym pośrednikiem w handlu. Można więc stwierdzić, że łączyły ich w okresie przedwojennym, a nawet w pierwszym okresie okupacji wielostronne interesy. Chłop nie miłował na pewno "ludu wybranego" jak czynił to Jahwe, raczej traktował go z pewną lekko kpiącą pobłażliwością. Świadczyły o tym liczne, krążące "kawały" na żydowskie tematy, niezmiennie opowiadające o tym jak to chłop Żyda w pole wywiódł, lub o treści obyczajowo erotycznej mówiącej o układach w żydowskich małżeństwach. Niewielkiemu odsetkowi (kilkudziesięciu osobom) udało się umknąć przed holokaustem nie oznaczało to niestety ocalenia. Bytujący w jarach i Cetnarze nieszczęśnicy potrzebowali do przetrwania pomieszczeń i te jakoś sobie urządzili kopiąc w lasach i na zboczu jarów prymitywne ziemianki. Natomiast strawy zmuszeni byli szukać w okolicznych wioskach, a tej co raz bardziej brakowało. Dodatkowo mieszkańcy wiosek obawiali się represji ze strony okupanta (kara śmierci za pomoc Żydom). Jedynym, co im pozostało to zdobywanie żywności przemocą. Zorganizowana przez nich szajka rabunkowa, w skład której wchodziło dodatkowo kilku "plennych" (zbiegłych z niewoli rosyjskich jeńców) stała się nader uciążliwa dla mieszkańców pobliskich wiosek.

W nocy z 15/16 maja 1943 r. zbudziła wieś ostra strzelanina. Rankiem okazało się, iż na przecięciu ścieżki z rzeczką zabitych zostało pięciu osobników domniemanych bandytów. Słyszałem dwie wersje owego wydarzenia, jedna mówiła o rozprawieniu się z bandą przez granatowych policjantów z Radeczniczy, druga, iż to sami chłopcy zorganizowali się w celu zlikwidowania bandytów. Ta druga wersja jest bardziej prawdopodobna, bowiem wyraźnie w nocy słychać było karabin maszynowy a granatowi tego typu bronią nie dysponowali. Owa kanonada z połowy maja była początkiem rozwijającego się dynamicznie biegu wydarzeń drugiej połowy roku 1943 aż do końca czasu okupacji w lipcu 1944 r.

Paradoksalnie klęskom niemieckim na arenach wszystkich frontów wzmogły represyjność wobec okupowanej Europy (szczególnie zaś wobec ludności G. G.).

Już pod koniec czerwca 1943 r. dwa niemieckie samoloty zaczęły krążyć nad wioską Niebawem na polach od strony Chłopkowa zauważyłem liczne sylwetki w zgniło - zielonych mundurach. Otoczywszy wioskę niemieccy żołnierze wyprowadzali z zabudowań i chat mężczyzn. Trzeba przyznać, iż nie poszukiwali zbyt gorliwie i ci, którzy zdążyli się ukryć przetrwali na miejscu do końca wojny. Pochwytnych umieszczono na należącym do dziadka placu w południowym końcu wioski. Następnego dnia całą grupę poprowadzono w kierunku Zagrobli i dalej (jak niedługo się wyjaśniło) do obozu przejściowego w Zwierzyńcu. Pozostali mieszkańcy wioski byli kompletnie zdezorientowani i nie wiedzieli co dalej czynić; uciekać czy pozostać na miejscu?

My tzn. mama, dziadkowie Janka i ja z siostrą znaleźliśmy chwilowe schronienie w Radeczniczy w

stodole brata przebywającego w Kanadzie ojca Janki (M. Krzyszcza). "Za drutami w Zwierzyńcu znaleźli się w tym czasie ojciec i obydwaj bracia cioteczni; Władek i Edzio. Po kilkudniowym pobycie w Radecznicy nastąpił powrót do Podborcza. Tu zastaliśmy sporo nowych twarzy. Byli to mieszkańcy Sułowa, którzy zostali wypędzeni ze swej miejscowości do rzekomo pustych wiosek.

Powoli klarowała się sytuacja ludzi zamkniętych w zwierzyńskim obozie koncentracyjnym, któremu należy poświęcić kilka słów; Pierwotnie obóz był przeznaczony dla jeńców sowieckich w ogromnej większości szybko zagłodzonych na śmierć (tylko nieliczni zostali wcieleni do kolaborujących z Niemcami jednostek wojskowych). Po krótkim przestoju stał się on głównym punktem przejściowym dla polskiej ludności z pacyfikowanej Zamojszczyzny. Przeszły przez niego dziesiątki tysięcy ludzi w tym większość to kobiety i dzieci. Nie było to w pełnym znaczeniu miejsce eksterminacji, jednak ofiary zaistniałe z powodu straszliwych panujących tam warunków oraz wynikiłe z powodu tortur w "śledztwach" stanowiły znaczny odsetek uwięzionych. Podstawowym celem owej akcji pacyfikacyjnej z lata 1943r. była zapewne potrzeba dostarczenia dostającym zadyszki niemieckim przemysłowi i rolnictwu bezpłatnej siły roboczej, dodatkowymi osłabienie ruchu oporu odcinając go od źródeł zaopatrzenia, wreszcie mimo klęsk militarnych utworze nie na Zamojszczyźnie enklawy niemieckości.

Tylko nieliczne osoby zostały wypuszczone z obozu znakomitą większość wysłano do pracy przymusowej na teren Reichu. Znalazł się wśród nich i mój ojciec wywieziony w okolice Rymarzowa w Sudetach Jesienią tego roku zdarzyło się coś, co niemal graniczyło z cudem: ojciec powrócił do rodzinnej wioski. Pozornie wszystko było zgodne z logiką uprzednio zaistniałych faktów.- Mama po sygnale od ojca informującym o miejscu pobytu skontaktowała się ze znajomą w Lublinie (pracownicą Arbeitsamtu), która obiecała wysłać ochotnika w miejsce ojca i tak się też stało Efekt jak wyżej. Tyle tylko, iż logika tamtego czasu była zjawiskiem porównywalnym z cudem.

Rok 1944 podobnie jak trzy poprzednie miał być ostatnim rokiem wojny. Mimo braku w większości domów zabranych na roboty w Niemczech mężczyźni, ludzie jakby wyżej podnosili głowy. To, iż jest to ostatni rok okupacji zdawało się być pewnikiem. Jediną obawą sprawiało pytanie, jakie zagrożenie spowoduje wycofująca się hitlerowska armia. O zbliżaniu się Rosjan mówiły eskadry bombowców lecące nocą w zachodnim kierunku oraz liczne i dobrze uzbrojone oddziały sowieckiej partyzantki raz za razem przemieszczające się w różne strony. Wiosną zorganizowane zostało tajne nauczanie na poziomie pierwszej klasy gimnazjum. Wykorzystano izbę wynajętą u jednego z rolników na Starowisi (tak potocznie nazywano Gorajec Starą -Wieś) i służącą jako salka miejscowej szkoły powszechnej. Było nas dziewięcioro. Z Podborcza chodził Rysiek Gaczol syn nauczyciela i ja. Codziennie wędrowaliśmy ścieżką obok stawu i dalej. Ostatni odcinek drogi pokonywaliśmy gościńcem niemal do zakrętu w pobliżu jedyne go w okolicy sklepu. Kolejnymi nauczycielskimi dziećmi byli Jurek Hasiec, i Dusia Świstacka, Ludwika i Zosia Wróblównie były siostrami partyzanta por. "Betona" również z zawodu nauczyciel, a Kazia (Mogielnicka?) ich kuzynką. W skład zespołu wchodził jeszcze Marysia i Józio Szczepanek niebędący jednakże rodzeństwem, Stach Paszko, oraz chłopiec o nazwisku (o ile dobrze zapamiętałem Fret. Zajęcia prowadzili nauczyciele miejscowej szkoły p. p. Hańcowie, p Kuna ze Smorynia oraz F. Piwowarkowa. Jakkolwiek nie mam absolutnej pewności, to jednak z dużą dozą prawdopodobieństwa należy mniemać, iż inicjatorami i organizatorami owego kursu byli Wojciech Polak i Henryk Wróbel. Codzienna; sielankowa wędrowka łąkami u stóp Wiercikija w promieniach wiosennego słońca sprawiała niekłamana przyjemność.

W połowie czerwca na Szczepreskiej pojawiły się konwoje niemieckich furmanek. Były to nie tylko tabory wojskowe, również wozy z "czarnymi" i innymi "deutschami" zdążające polnymi drogami w zachodnim kierunku przez Frampol i dalej. Szlak (wykorzystywany zapewne już przez Dymitra; średniowiecznego właściciela tej ziemi), stał się trasą ucieczki niedawnych "nadludzi". Wiódł on przez Gorajec i z tej prostej przyczyny zajęcia nasze kontynuowane być nie mogły. Oczywiście też było, iż nadchodzi kres okupacji. Czekano, więc na dalszy rozwój wydarzeń niecierpliwie, ale i z pewną dozą obawy.

Wędrowka furmanek z różnym nasileniem trwała również wówczas, gdy pod koniec czerwca

słyszało się kanonadę z broni maszynowej i armat. Nie były to jednak odgłosy zbliżającego się frontu; jak początkowo mniemano, lecz jazgot spowodowany największą bitwą otoczonych przez potężne niemieckie zgrupowanie oddziałów partyzanckich w południowej części Puszczy Solskiej; Bitwy pod Osuchami) zakończonej straszliwą klęską akowsko - bechowskiego zgrupowania. Na Szczebrzeskiej przez cały czas, aż do przełomu drugiej i trzeciej dekady lipca wlokły się wozy niekiedy poprzeplatane stadami pędzonego bydła. Potem wertepami i zбочzami Szczebrzeskiej runął przemieszany z końmi krowami i piechurami z ogromnym harmiderem i bałaganem potok pojazdów zmechanizowanych. Był 22 lub 23 lipiec.

Znajdowałem się na drzewie czereśniowym z widokiem na gościńiec, gdy od strony Radecznicy przejechały pierwsze czołgi. W mgnieniu oka wioska się wyludniła. Znaleźliśmy się na kartoflisku za gościńcem, około pięciuset metrów na zachód od wiejskich zabudowań. Było późne popołudnie. Niebawem dotarł zgiełk o strony Podborcza, oraz pobliskiego Zakręcia. Wieczór i noc stały się koszmarem; w pobliżu szwargot biwakujących i szukających wyjścia z matni przerażonych wermachtowców. Wokół łuny płonących wiosek. Palił się w kilku miejscach Gorajec, paliła Radecznicza. Łuny rozprzestrzeniają się na całym horyzoncie. Tu i ówdzie słychać pojedyncze strzały i maszynowe serie. Nad ranem widać na wzniesieniu Szczebrzeskiej sylwetkę czołgu strzelającego zapalającymi pociskami w zabudowania Szperówki. W pobliżu ścieżkami i miedzami cicho i ukradkiem przemykają pochylone cienie. "Ludzie coście za jedni? Skąd idziecie?" Pada pytanie. "Z Majdanka"; brzmi odpowiedź.

Ponieważ harmider szczególnie od strony Zakręcia niepokojąco narastał postanowiliśmy przejść w kierunku Chłopkowa, a następnie w jary za tą miejscowością, gdzie między innymi szukała schronienia rodzina Gębków naszych bliskich krewnych. Kolejny trzeci już dzień rozpoczął się spokojniej. Panująca cisza prowokowała do powrotu. Wracamy, a wokół cisza. W połowie drogi spotykamy sowiecki patrol. Mijamy się z obustronnym zaciekawieniem jednak bez szczególnych serdeczności. W podświadomości zdawałem sobie sprawę, iż kończy się okupacyjny koszmar. Co jednak przynoszą żołnierze z czerwonymi gwiazdkami na czapach? Wioska ocalała. Wczorajsze dymy w tej stronie spowodowane były podpaleniem porzuconych zawartości samochodów uznanych przez wycofujących się za zbędne i utrudniające odwrót. W naszych małych izdebkach pełno słomy. Uprzednia zawartość mieszkanek została najzwyczajniej wyrzucona na zewnątrz.

Wracam do tamtego czasu, tamtych wydarzeń i tamtego środowiska po sześćdziesięciu latach z zadumą i nostalgią. Dwukrotnie w dwudziestym wieku chłop polski decydował o losach swego Kraju. Po raz pierwszy broniąc go przed bolszewickim zalewem. Po raz drugi nie tylko produkując żywność w ekstremalnych warunkach, ale i broniąc w miarę możliwości swą ziemię z karabinem w dłoni. O heroizmie, zmaganiach z hitleryzmem, terrorze i eksterminacyjnych działaniach niemieckiego (również sowieckiego) okupanta napisano już wiele nawet bardzo wiele, natomiast o codzienności owego czasu pisano mało, zaś o codziennym trudzie rolnika pod hitlerowskim terrorem niemal zapomniano.

To właśnie ta wieś z przed sześćdziesięciu laty była dla mnie nośnikiem głębokiego patriotyzmu, zaś ukształtowanie krajobrazu najpiękniejszym pejzażem poruszającym każdy nerw, budzący emocje i wzruszenie. To ci ludzie prości, szlachetni, mądrzy mądrością doświadczenia własnego i swych przodków, bytujący w wielopokoleniowych rodzinach stwarzali atmosferę spokoju i bezpieczeństwa w najtrudniejszych nawet momentach. W codziennym trudzie, w bliskości przyrody, w kultywowaniu na poły chrześcijańskich, ale tkwiących korzeniami w czasach pogańskich obrzędach, Pod naciskiem opinii lokalnej społeczności kształtowała się chłopska psychika, nieco ociężała, uparta, otwarta, rzetelna i szczerą. Owe wartości moralne ukształtowane przez wieki doświadczeń obecnie sprowadzane do jakichś telewizyjnych spektakli nie są w stanie przybliżyć młodzieży wiedzy o naszych "korzeniach". Tamtą wieś z przed wielu lat niszczone ze względów ideologicznych i ekonomicznych, bez względu na oficjalnie dominującą opcję polityczną. Wizja przyszłości jawi się ponuro. Najbliższe lata pokażą, czy krajowi temu i jego

mieszkańcom uda się otrząsnąć z wszechogarniającej schizofrenii moralno -społecznej?, czy Polska zostanie tylko skansenem lub rezerwatem Europy? Futurologia to jednak zupełnie inny temat